†

Szkółka niedzielna.

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

№ 42. Kościan dnia 19 Października **1862.**

RELIGJA.

Ś. Jan Kanty.

I to jest Polak nasz ziomek, bo powiadam wam, że Polska istotnie jest matką Świętych; tyle wydała Świętych, że się z tego prawdziwie szczycić możemy, i zarazem powinniśmy brać sobie z tych braci i siostr naszych wzory do naśladowania.

Jan Kanty, syn bardzo bogobojnych rodziców Stanisława i Anny, urodził się w miasteczku Kanty niedaleko Krakowa, roku 1412. Że z młodości swéj wielką do nauk okazywał ochotę, nie szczędzili rodzice jego, acz ubodzy wszelkiego nakładu, aby z synaczka na starość pociechy doczekali. Gdy szkołę miejscową chlubnie ukończył, wysłali go rodzice do najwyższéj szkoły w Krakowie, co się akademją zowie. Tu się dopiero rozwinęły jego zdolności, iż wkrótce najwyższych w naukach dostąpił stopni. A chociaż był tak uczony, jednakowoż nie stał się dumnym, ale zawsze był pokornym, i w gorącéj modlitwie szukał tego, od którego wszelka mądrość pochodzi. On się też jemu cały poświęcił, bo sobie obrał stan duchowny.

Jako kapłan wysokiemi jaśniał cnotami, niejednemu wskazał drogę do nieba, a wielu swym przykładem za sobą pociągnął. Powierzono mu parafją w Olkuszu, ale on wolał być nauczycielem przy Akademji Krakowskiéj. Tu nauczał nieumiejętnych, tu służył chorym, tu gromił żarliwie zuchwałych, niekarnych nakłaniał do posłuszeństwa, swawolnych karał łagodnie, niezgodnych jednał, a wszystkich sposobił i zachęcał do pilności w naukach, do pobożności żywota, do postępowania w cnotach. A względem siebie jak sobie postępował? Mój Boże, on siebie miał zawsze za bardzo grzesznego, i dla tego postami swe ciało trapił, dyscypliną często się chłostał, i w modlitwach nie ustawał. Sen jego krótki, łóżko — ziemia goła, pokarm — kawałek suchego chleba, albo trochę jarzyny, mięsa zaś wcale nie jadał. Raz go wzięła do mięsa ochota, schwycił więc mięso gorące, i niém sobie twarz parząc wołał: chciało ci się mięsa, nasyć się do woli.

Szedł zawsze prawdą a Bogiem, a kłamstwem się brzydził jak największém złem, jak to wam następna przygoda pokaże.

Wybrał się do miejsc świętych, gdzie

Zbawiciel nasz ucierpiał, aby je łzami pokutnemi skropić; a wybrał się jako żebrak. Kiedy już powracał do domu, napadli go rozbojnicy, złupili go ze wszystkiego co miał, i pytali go się, czy nie ma więcéj; a gdy odpowiedział, że nie ma, odeśli. Wtenczas przypomina sobie, ze jeszcze ma zaszyte dwa dukaty. Zadrzał na samą myśl, że skłamał, biegnie więc za rozbójnikami i woła: skłamałem, jeszcze mam dwa dukaty, tu są zaszyte. — Aż osłupieli rozbojnicy, skruszyło jim się serce, wszystko mu zwrócili co wzięli, przepraszali go i prosili o modlitwę za siebie. — Przypatrzcie się więc Ś. Janowi Kantemu, i nie kalajcie ust waszych kłamstwem, a dzieci wasze strzeżcie od téj przebrzydłéj wady, bo kłamstwo zaprowadzi je do wszystkich zbrodni.

Aż cztery razy zwiedził groby ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła w Rzymie, gdzie mądrości jego i skrusze serca wszyscy się nadziwić nie mogli. Mieszkający tam Polacy pytali go się, czemu by to tak często czynił, a on odpowiedział: to mój czyściec, tu moje grzechy obmywam, tu biorę ochotę do dobrego żywota. —

Sławna jest jego zasada, którą często powtarzał, a nawet nade drzwiami swéj izdebki węglem napisał: strzeż się kogo obrazić, bo niesmaczna przepraszać; nie ruszaj sławy bliźniego, bo trudno odwołać. Długo ukazowano ten napis, ale zniknął zczasem.

W późnéj starości czując, że się już zbliża ostatnia godzina, zachęcał wszystkich do wspolnej miłości, nabożeństwa i zgody, i tak Bogu ducha oddał roku 1473. i pochowany został w Kościele Ś. Anny w Krakowie. —

Tak wielkiéj cnoty nie zostawił Bóg bez nagrody. Dziewięć lat przed swoją śmiercią idąc przez ulicę usłyszal okropny płacz dziewczyny, która dzbanek z mlekiem stłukła; a bała się swéj pani, bo była bardzo zła. Ulitował się Święty nad nią, ale sam biedak nie miał ani grosza przy duszy. Pomodlił się gorąco, zebrał skorupy, i patrzcież dzbanek jest cały. Nabrał weń wody, i tę wodę w mleko modlitwą przemienił. Na to patrzało się wielu ludzi wiarogodnych, tak że dzisiaj ani wątpić o tém niepodobna.

Innego razu wyszedł sobie za Kraków, a była to Niedziela. Nadeszła chmura i grad straszliwy piękną przenicę stłukł na miazgę. Zdrętwieli nieboracy, i z załamanemi rękoma patrzali się na swoje nieszczęście, i na głód pewny. I tu się ulitował nad biednym ludem, przeszedł zagon po zagonie, i patrzcież! za jego stopami wstaje pszenica jak stała przed gradem, i jeszcze piękniejsze schyla na dół kłosy.

Tém powodowany Papież Klemens XIII. policzył go w roku 1767. w poczet Swiętych Pańskich i pierwszych Patronów całéj Korony Polskiej. —

Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Po nieszczęsnéj bitwie Szczekocinskiéj zwrócił się Kościuszko ku Radomiu, a ucierając się ciągle to z Moskalami, to z Prusakami, stawa pod Warszawą 10 Lipca. — Jakaż to radość w całéj Warszawie, gdy się dowiedziano o przybyciu swego Naczelnika, w którym Polacy całą swą nadzieję położyli. Wszystko znowu co żyje sypie okopy: księża, panowie, żołnierze, rzemie-

ślnicy, a nawet i najpierwsze kobiety wsród muzyki pracowały natężenie około obrony stolicy.

Cztery obozy założono: obóz Kościuszki przy Mokotowie, Dąbrowskiego i Zajączka przy Woli, a Mokronowskiego przy Marymoncie. Widział to nieprzyjaciel, że Polacy do upadłego bronić się tu będą, i dla tego odstąpił od Warszawy, i zaniechał oblężenia.

Minęło niebezpieczeństwo, ale Kościuszko dobrze wiedział, że tylko na krótko, bo nieprzyjaciel wzmocniony łatwo wrócić może. I zgadł, bo Moskale jakby nawałnica zalewają Litwę i dążą do Warszawy. Przewodzi jim dziki Suwarów, uderza na oddział Sierakowskiego. Polacy stawili opór, przez osiem godzin trwała bitwa; aż nakoniec przed przemocą ustępuje Sierakowski aż pod samą Warszawę. Nieprzyjaciel tuż za nim. Widzi to Kościuszko, wychodzi z 20 tysiącami dzielnych Polaków naprzeciw nieprzyjacielowi, aby się z nim zmierzyć. Śmierć lub zwycięstwo! oto hasło Kościuszki i Polaków.

Dwadzieścia tysięcy dzielnych wojowników stanęło do boju. Kościuszko jeszcze raz przegląda te bohaterów szeregi i w te się odezwał do nich słowa: Polacy! wkrótce rozpoczniemy walkę z najgłówniejszym naszym nieprzyjacielem. Czy chcecie bronić wolności? czy chcecie co innego obierać pomiędzy śmiercią lub zwycięstwem? Lecz kto się boji, niech rzuci broń, i niech idzie do domu. — Wszyscy milczą. — Jeszcze raz powtarzam, kto chce, niech idzie do domu. — A tu jakby na komendę wszyscy zawołali: Wodzu, z tobą będziemy walczyli aż do śmierci. — Dobrze, zawołał Kościuszko, idźmy z Bogiem na wroga, bo przysięgam wam (i tu podniósł pałasz ku niebu), że za Ojczyznę krwi własnéj szczędzić nie będę.

I z tą przysięgą poszedł na wroga, z którym ostatnią nieszczęsną bitwę stoczył pod Maciejowicami, o czém wam obszernie w przyszłéj Szkółce napiszę. —

Czwarte przykazanie.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Czcij twych Rodziców, byś długo żył w świecie,
Boskie te słowa kładę na początek.
Ach ciężko karze Bóg niedobre dziecię,
I to też będzie méj powieści wątek.

Gdy biedny ojciec w krwawym pocie czoła
Ciężko pracuje na chleb dla swych dziatek,
Czemże się dziecię wywdzięczyć mu zdoła
Za poniesiony znój i niedostatek?

Cześć, posłuszeństwo, i miłość, i praca,
Tém się wywdzięczyć pragnie dobre dziecię.
Lecz złe rodzicom swym dni życia skraca,
I wszystkie chwile zatruwa na świecie. —

Ubogi Szymon mieszkał w końcu wioski,
W staréj chałupie z poszarpaną strzechą.
Bóg mu na próbę zsyłał ciężkie troski,
Rzadko się kiedy weselił pociechą.

W dzień nie dojadał, niedosypiał w nocy,
Każde zmartwienie znosił on z pokorą.
Pracował, ile było w jego mocy,
Aby wyżywić swych dzieci pięcioro.

Bo mu Bóg zabrał żonę do swéj chwały,
Późniéj cholera sprzątła troje dzieci.
Została Maryś, został Janek mały;
Lecz nam po burzy zwykle słońce świeci.

Choć smutny Szymon jak dawniéj pracował,
Nie tknął się wódki, modlił się w kościele.
Niejeden wspomógł go i pożałował,
Nie znał zazdrosnych, przyjaciół miał wiele.

Uczciwość jego w okolicy znana,
Tak się spodobał Jakóbowi Rurze,
Że mu swą Kachnę dał, a z nią na wiano
Z całym dobytkiem gospodarstwo duże.

Więc teraz Szymon był wcale bogaty,
Lecz się nie zepsuł przez tę lepszą dolę.
Był zawsze takim, jakim był przed laty.
Orał sam w polu, sam młócił w stodole.

Janek choć duży, lecz swawolny chłopak,
Wolał psuć gniazda, wolał spłatać psotę,
Niż iść do szkoły, — on zawsze na opak
Jak ojciec każe, nie dba o sromotę.

Płyną godziny, płyną dni i lata,
Młodzi się ludzie chylą ku starości.
Okryła ziemię biała śniegu szata,
Szymon przy ogniu grzeje stare kości.

Umarła Kachna, co go zbogaciła,
I już od roku leży Maryś w grobie.
Żona mu wszystką własność zostawiła,
O dobréj córce także wspomni sobie.

Oj wspomni. — Wszystko ojciec dał synowi,
Ten się ożenił, więc przy nim osiada.
Dobrego słowa synowa niepowi,
A Janek? Janek? złemu dziecku biada!

W chlewie spać każe biednemu starcowi,
Kilka jałowych perek jego strawa.
Klątwy, przekleństwa brzmią w ustach synowi,
A ojciec biedny smutkiem się napawa.

A gdy mu serce z boleści zadrzało,
I łza jak perła spłynęła na lica,
Jankowi licho w uszy wciąż szeptało,
I przeciw ojcu złe chuci podsyca.

I ta łza właśnie na twarzy starego
Podnosi rękę wyrodnego syna.
Chwyta za włosy już i tak słabego,
Rzuca na ziemię, i bić go poczyna.

I jakby szatan w człowieka osobie
Wywleka starca przez sień na podworze,
Życzy mu jeszcze, by raz zasnął w grobie,
A starzec szeptał: nie karz go o Boże!

Już wiele razy śnieg znów okrył pola,
I wiele razy wiatr zrzucił liść z drzewa.
Dwadzieścia razy wydała plon rola,
I tyleż razy rólnik znów zasiewa.

Siwym się włosem okryły te głowy,
Co przedtém w czarne zdobnie się strojiły.
Wymarli starzy, nastąpił ród nowy,
Nowe na cmentarz przybyły mogiły.

Szymon już nieżył, zarosła mogiła,
Nie dojrzysz śladu, lecz za to co wiosna
Śliczna się trawka na niéj zieleniła,
I ptasząt nad nią brzmiała pieśń radosna. —

Raz . . . a było to przed niewielu laty,
Idę przez wioskę, słyszę wrzask zdaleka.
Zbliżam się spiesznie do porządnéj chaty;
Ach! cóż tam widzę? Czyn niegodny człeka.

Parobczak trzymał starca silną ręką,
I włókł go z domu przez gnój i kamienie.
Bił go i kopał, starzec osłabł męką,
Ale ponure zachował milczenie.

Twarz krew zalała, ubior był podarty,
I niepodobny już był do stworzenia.
Ale parobczak jako zwierz rozżarty
Jeszcze pociągnął starca do kamienia.

Stój! krzyknie starzec, stoj! synu dla Boga!
Bom dotąd ciągnął ojca nieboszczyka,
Oj straszna kara! niech cię przejmie trwoga!
Na karę, jaką mnie dziś Bóg dotyka. —

Zadrzałem z zgrozy, i zamknąłem oczy,
Prędko uchodząc z miejsca Boskiej kary.
Wtem widzę dziadka, jak powoli kroczy,
Żebrak znajomy, schylony i stary.

Zwykle pod krzyżem w końcu wioski siedział.
I na koronce odmawiał pacierze,
A gdym go spytał, coby o tém wiedział,
To mi zdarzenie opowiedział szczerze.

Ten biedny starzec to Janek Szymona,
A teraz bity przez własne swe dziecię,
Kara to na nim widocznie spełniona
Jeszcze tu na tym wielkim bożym świecie,

Bo napisano, i w to ludzie wierzą,
Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.—

Zamilkł i ja go wkońcu pożegnałem,
I żeby przykład nie był bez nauki,
Rzecz tę jak była do Szkółki spisałem,
By ją czytały i dzieci i wnuki. —

M. M.

Od Redakcji.

JX. H. Włóczęga niedługo się ukaże; dziękujemy za łaskawą pamięć, a prosim o nas nie zapominać, bośmy dosyć długo czekali. —

Redaktor i nakładca X. S. Tomicki w Konojedzie pod Kościanem. — Ćcionkami T. Winklera w Kościanie.